

Bogate mam życie, bogate

ROZMOWA Z BEATĄ FUDALEJ

Zadeblutowała u Krystiana Lupy w przedstawieniu „Bracia Karamazow”, zaś „Rebeką” wyśpiewała Grand Prix wrocławskiego Przeglądu Piosenki Aktorskiej. Była Ireną Lilien w „Wielkim Tygodniu” Andrzeja Wajdy i Spiką w „Tak zwanej ludzkości w obłędzie” Jerzego Grzegorzewskiego. W czerwcu br. – na Festiwalu Szekspirowskim – zdobyła nagrodę indywidualną za rolę Ariela w „Burzy”. Beata Fudalej – krakowska aktorka – lubi podejmować wyzwania. Mówi, że na tym – między innymi – polega życie.

RENATA RADŁOWSKA: Początki?

BEATA FUDALEJ: – Zrobiłam dyplom u Krystiana Lupy, to było przedstawienie „Braci Karamazow”. Po dyplomie Lupa zaproponował mi tę samą rolę – Lizy Chochłakow – już w Starym Teatrze. Właściwie to dzięki niemu znalazłam się w tym teatrze.

Ulubiony reżyser?

– Nie mam jakichś preferencji, jeżeli chodzi o reżysera, z którym pracuję. Lubię ludzi przygotowanych. Nie znoszę blichtru, udawactwa.

Ceni pani takich, którzy mają pomysły?

– Pomyśl to podstawa, ale każdy reżyser musi coś ze sobą nieść. Spotykam

się z różnymi ludźmi w tej pracy. Są tacy, którzy uwodzą od razu, i to nie tylko swoim czarem, wdziękiem osobistym i tak dalej, ale również swoim myśleniem.

Bywało tak, że na początku niektórzy reżyserzy strasznie mnie drażnili i w ogóle nie miałam ochoty docierać do nich. Później się okazało, że to były najciekawsze spotkania. Jestem człowiekiem bardzo niespokojnym, buntowniczym, nie lubię się poddawać do samego końca, choć uważam, że zdanie reżysera jest zdaniem świętym i koniec. Tylko on jeden wie, jak to wszystko będzie w efekcie wyglądało.

Idealny reżyser to taki, który pomaga aktorowi się rozwinąć, a nie koncentruje się wyłącznie na sobie i swojej pracy?

– Nie mam ideałów, ani aktorskich, ani reżyserskich. Są momenty, kiedy bardzo źle pracuje się z reżyserem, kiedy się wydaje, że on nie jest przygotowany, że samemu nie można sprostać – a później się okazuje, że to była najciekawsza praca. Naprawdę. Czasami reżyser jest fantastycznie przygotowany, ale zupełnie nie potrafi porozumieć się z aktorem.

Walczy pani z reżyserem?

– Nie, to nie jest tak. Przede wszystkim trzeba walczyć z sobą, z własnym

lenistwem, egzaltacjami również. Nie mam żadnej metody na tę pracę. Często metody prowadzą do tego, że coś staje się kostyczne, a jest tyle fantastycznych rzeczy w życiu, które mogą nas zaskoczyć, rozwinąć.

Piosenką „Rebeka” wyśpiewała pani Grand Prix na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu.

– Dostałam Grand Prix razem z Hanią Śleszyńską z Warszawy. No i co? No i sobie zaśpiewałam. Wtedy w teatrze miałam niewiele roboty. Po moim drugim sezonie okazało się, że weszły trzy obsady i w żadnej z nich mnie nie było. Potem była czwarta, gdzie dostałam jakąś „halabardę” – trzecia dama dworu – w świetnym przedstawieniu, pięknym „Ślubie” Jerzego Jarockiego. Przez trzy miesiące praca wyglądała tak, że siedzieliśmy w bufecie po to, żeby wejść na scenę na pięć minut.

Między rzadko odbywającymi się przedstawieniami pracowałam u znajomych artystów – nie byłam miała talent – i wpadł tam mój kolega Paweł Miśkiewicz, który powiedział, że jest taki festiwal i zaproponował, żebyśmy stworzyli duet.

Zrobiliśmy taki zabawny pastisz. Ten przegląd strasznie mnie drażnił i co to w ogóle za określenie: piosenka aktorska, jeżeli nie aktorska to jaka? To jest jeszcze jeden środek wyrazu, tyle.

Role komediowe czy dramatyczne?

– Lubię grać dobre role, choć często mi to nie wychodzi. Jeżeli już pracować nad jakimś materiałem, to niech to będzie dobry materiał, koniecznie dobry materiał.

Za rolę Ariela w „Burzy” dostała pani nagrodę indywidualną na Festiwalu Szekspirowskim w Gdyni.

– Tak. Jury tego festiwalu jeździło po kraju i oglądało przedstawienia, z którymi później aktorzy pojedą do Gdyni. Zobaczyli nasz spektakl w reżyserii Rudolfa Ziolo i spodobał się.

Ariel to sympatyczna postać, czy może się pani z nią identyfikować?

– Nie będę mówić, że identyfikuję się z tą postacią albo nie, no bo jak można identyfikować się z duchem powietrznym. Zaraz miałabym kompleksy, na przykład, że nie umiem latać.

Jak pani wspomina współpracę z Andrzejem Wajdą przy realizacji filmu „Wielki Tydzień”?

– Biorąc pod uwagę, kim jest ten człowiek, zawsze będzie o nim – i o tym, co robi – głośno. Kiedy Andrzej Wajda zaproponował mi zagranie postaci Ireny Lilien w filmie „Wielki Tydzień”, najważniejszy był dla mnie sam materiał. Nie spałam po nocach, próbowałam go rozgryźć. Wiedziałam, że mam do czynienia z wielkim artystą i mogę mieć do niego zaufanie. Zmierzyłam się więc z materiałem, a nie z tym, że to moja główna rola w filmie, który będzie jeździł na festiwalach. Jestem już dawno poza etapem, kiedy to człowiek dziwi się swej twarzy w telewizji. Kiedyś bardzo to przeżywałam, choć do dzisiaj mam kłopoty z zaakceptowaniem swojego ryja.

Czy chciała pani stanąć kiedyś po tej drugiej stronie i reżyserować?

– Próbowałam reżyserować w liceum i wydawało mi się, że robię to świetnie,



– Kiedy stwierdziłabym, że już coś umiem, wtedy skończyłoby się moje aktorstwo.

miałam wtedy mniej zwinięte zwoje mózgowe. Reżyserowanie nie polega na tym, żeby powiedzieć aktorom: „Teraz gramy, teraz świecimy reflektorem”. To są wielkie stesy, tu trzeba walczyć i nieustannie dawać coś z siebie. Jak poczuje, że mam coś do powiedzenia na tej płaszczyźnie, to może kiedyś po cichutku, gdzieś w piwnicy...

Pewnie nie chce pani mówić o samorealizacji?

– Odpowiedź składająca się z jednego zdania wszystko spłyci. Każdy w jakiś sposób się samorealizuje, a ja absolutnie nie mam wymarzonej roli. Nigdy nie zakładam, że teraz powinnam się spotkać z tym czy z innym reżyserem. Często lepsze efekty pojawiają się w sytuacjach, kiedy wydaje się, że rola jest zdecydowanie nie dla mnie.

Ważny jest zatem przypadek?

– Też nie. Nie ma żadnych reguł.

Nad czym obecnie pani pracuje?

– Marta Meszaros zaproponowała mi, żebym zagrała Edith Piaf, no i zaczęłam dużo czytać o niej samej, potem słuchać piosenek. Zdążyłam już oswiecić, wyłysieć ze stresu. Najbardziej boję się śpiewania, bo ona śpiewała genialnie.

Strach przed tym, żeby nie „zbrukać”?

– Tak, żeby nie zdeptać, żeby moje własne wyobrażenia, które mogą być złudne, nie pociągnęły mnie w kierunku powierzchowności. To będzie wy-

zwanie w stosunku do człowieka, artysty, kanonu, pomnika.

Przekazuje pani wiedzę młodym ludziom. Jaka jest Beata Fudalej jako pedagog?

– Nigdy nie chciałam o sobie mówić, że jestem nauczycielem. Ci młodzi ludzie są cudowni, bardzo cenię ich zapal. Podziwiam to, że pracują, żeby się utrzymać, wynajmując mieszkanie, opłacając szkołę, że tak bardzo chcą być aktorami. W zasadzie to ja ich niczego nie uczę, to są takie spotkania, w trakcie których uświadamiam im to, o czym już wiedzą, a czego jeszcze nie nazwali. Jestem takim lustrem: w momencie kiedy zaczynają kłamać, odzieram ich z naleciałości. To jest trudne, ponieważ nie jestem tak do końca pewna swoich umiejętności. Kiedy stwierdziłabym, że już coś umiem, wtedy skończyłoby się moje aktorstwo.

Rozmawia pani z dziennikarzami o swoim życiu prywatnym, o chińszczyźnie, którą pani świetnie przyrządza, o tenisie stołowym albo o Małej?

– A skąd pani ma takie informacje? O chińszczyźnie nie będziemy chyba rozmawiać, a Mała? Mała to kłacz, której się oświadczyłam, a właściwie jej właścicielom. Często jeżdżę konno, grałam kiedyś w tenisa stołowego i nawet myślałam, żeby złożyć papiery na AWF, ale w końcu trafiłam na PWST. No, bogate mam życie, bogate.

ROZMAWIAŁA RENATA RADŁOWSKA